

## Jacques Maritain: Trzy sprzeczne opisy epoki

Dzisiejszy frenetyczny modernizm jest nieuleczalnie ambiwalentny. Dąży on z natury, mimo że się przed tym broni, do zniszczenia wiary chrześcijańskiej. A jednocześnie u wielu tych, którzy ssę z nim łączą, można dostrzec jak gdyby wysiłek, by dać tej wierze coś w rodzaju zdesperowanego świadectwa – pisał Jacques Maritain w „Wieśniaku znad Garonny”. Publikujemy fragment książki wydanej niedawno przez Wydawnictwo W drodze

Jednym z podstawowych aksjomatów zdrowej filozofii dziejów, o czym często pisałem, jest to, że historia świata postępuje jednocześnie po linii zła i po linii dobra. W pewnych epokach – na przykład w naszej – widzimy, jak skutki tego podwójnego równoczesnego postępu wybuchają jak wulkan. To bynajmniej nie ułatwia prób opisu takich momentów ludzkich dziejów. Trzeba bowiem wówczas przedstawić kilka sprzecznych opisów, z których mimo to każdy jest prawdziwy. Również te trzy opisy, które chciałbym tutaj zaproponować, dotyczą tylko niektórych aspektów naszych czasów (ich aspektów duchowych). Zwróćmy się teraz już nie ku świętemu Kościołowi w jego widzialnie manifestowanej powszechności, lecz ku światu zachodniemu (mówię o nim, ponieważ znam go trochę lepiej niż inne) i pomyślmy o pracy, która odbywa się w jego głębiach. Na pozór wydaje się, że żyjemy we wspaniałej epoce. Racjonalistyczna i pozytywistyczna wizja świata raczej definitywnie odeszły w przeszłość, zbrzydły już wszystkim (zapomnijmy na chwilę, że przyszły gorsze). Zrodził się ogromny ferment duchowy, ogromne pragnienia religijne. Dusze są chciwe

autentyczności, szczerości, oddania wspólnej sprawie, ze swoistym upojeniem odkrywają tajemnicę ludzkiego bytu, możliwości i wyzwania miłości braterskiej. Jest w tym jakby jakaś nostalgia za Ewangelią i Jezusem. Tam zaś, gdzie słyszy się bliższy i pilniejszy apel – czy to w kręgach węższych, jakkolwiek liczebniejszych niż się sądzi, czy też niekiedy w zupełnie maleńkich grupkach, których inicjatywy mimo to liczą się nade wszystko (zaczynamy, biedni współcześni bomby atomowej, poznawać potęgę mikrodziałań[1] ) – tam żarliwa i oczyszczona wiara, pasja absolutu, płomienne przecucie wolności, szerokości i różnorodności dróg Bożych, ogromne pragnienie doskonałej miłości szukają i znajdują nowe sposoby poświęcenia życia dawaniu świadectwa o miłości Jezusa do wszystkich ludzi i o hojności Ducha Bożego.

\*

To opis pierwszy. Drugi mówi coś zupełnie przeciwnego. Mając na uwadze gorączkę neomodernistyczną[2] , bardzo zaraźliwą, przynajmniej w tak zwanych kręgach intelektualnych, wobec której modernizm z czasów Piusa X był tylko skromnym katarem siennym i która dochodzi do głosu zwłaszcza u najbardziej postępowych spośród naszych braci protestantów[3] , ale jest tak samo aktywna u równie postępowych myślicieli katolickich, ten drugi opis daje nam obraz[4] swego rodzaju „immanentnej” (to znaczy zdecydowanej za wszelką cenę pozostać chrześcijańską) apostazji, dojrzewającej już od wielu lat, której ujawnienie się przyspieszyły pewne mroczne nadzieje niższych części duszy, wzniecone tu i ówdzie przy okazji Soboru, kłamliwie imputowanej niekiedy „duchowi Soboru” lub „duchowi Jana XXIII”. Dobrze wiemy, kogo należy uważać za ojca tych kłamstw (tym lepiej, jeśli odciążymy trochę człowieka).

*Cały ten świat zwyczajnie  
przestał wierzyć w Prawdę,  
a wierzy tylko  
w prawdopodobieństwa  
zaczepione na rozmaitych  
prawdach*

Problem w tym, że  
już nie wierzy się  
w diabła i złych  
aniołów – ani też  
oczywiście  
w dobrych. Są oni  
jedynie eterycznymi  
reliktami świata  
babilońskich

wyobrażeń. Okazuje się, że obiektywna treść, z którą łączyła się wiara naszych przodków, wszystko to są mity, jak na przykład grzech pierworodny (czyż nie jest dziś naszym wielkim zadaniem odrzucić kompleks winy?), Ewangelia dzieciństwa, ciała zmartwychwstanie i stworzenie. I jak Chrystus historii, rzecz jasna. Metoda fenomenologiczna i szkoła historii form wszystko zmieniły. Rozróżnienie na naturę i łaskę jest scholastycznym wymysłem, tak samo jak transsubstancjacja. Piekło? Po cóż zadawać sobie trud jego negocjowania, prościej będzie o nim zapomnieć i prawdopodobnie to samo lepiej będzie zrobić również z wcieleniem i Trójcą Świętą. Bądźmy szczerzy, czy nasze chrześcijańskie masy kiedykolwiek myślały o tych sprawach albo o duszy nieśmiertelnej i przyszłym życiu? Krzyż i odkupienie, najwyższa sublimacja dawnych mitów i rytów ofiarniczych – powinniśmy widzieć w nich wielkie, wzruszające, na zawsze wyryte w naszej wyobraźni symbole wysiłku i zbiorowych ofiar koniecznych, by wynieść naturę i ludzkość na poziom unifikacji i spirytualizacji – i władzy nad materią – gdzie znajdą one wreszcie wyzwolenie od wszystkich starych zależności i dostąpią pewnego rodzaju chwały. Czy wówczas zwyciężona zostanie śmierć? Być może nauka znajdzie jakiś sposób (czemu by nie? – tak śnił już Descartes), by uczynić nas nieśmiertelnymi. Ale nie to jest ważne – ważna jest

wieczność kosmosu i nieśmiertelność ludzkości otoczonej chwałą w nim i z nim. Nasza wiara, gdy się już w ten sposób odpowiednio usunie wszelki jej specyficzny przedmiot, wreszcie może się stać tym, czym była naprawdę: zwykłym uszlachetniającym pragnieniem. Możemy w pełnej euforii dać się unieść potężnemu porywowi, z oświeconym zapałem odmawiać Symbol Apostolski (s y m b o l, jakaż to predestynowana nazwa!) i kochać Jezusa, służyć Mu i wielbić Go całym sercem, Jezusa wiary i chrześcijaństwa w e w n ę t r z n e g o, prawdziwie głębokiego. Gdyż ze wszystkim tym jest się chrześcijaninem bardziej niż kiedykolwiek. Cały ten świat zwyczajnie przestał wierzyć w Prawdę, a wierzy tylko w prawdopodobieństwa zaczepione na r o z m a i t y c h p r a w d a c h (to znaczy na konstatacjach lub weryfikacjach obserwowalnego detalu), które zresztą szybko się starzeją. Prawda przez duże „P” – cóż to takiego? Quid est Veritas – musimy przyznać, że tamten prokurator właściwie ocenił sytuację, a nawet trafił w sedno. Wszystko trzeba pisać małymi literami. „Wszystko jest względne, oto jedyna bezwzględna zasada”, pisał już ojciec nasz, August Comte. Choć bowiem skończono wreszcie z klasycznym pozytywizmem, to faktem jest, że żyjemy w świecie Augusta Comte’a: w świecie nauki (po stronie rozumu) dopełnianej mitem (po stronie uczucia). Był on pierwszorzędnym prorokiem. Dodam, że był on uczciwszy od was, pilni cenzorzy prawd objawionych. Mity swojej „subiektywnej syntezy” fabrykował otwarcie i szczerze ze wszystkich elementów, a nie jak wy, którzy całkowicie reinterpretujecie jeden jedyny spadek religijny i sądzicie przy tym, że pozostajecie mu wierniejsi niż ktokolwiek, próbując oszukać pragnienia i serca tych, których wiarę, we własnym mniemaniu, podzielacie.

\*

Ten drugi opis daje już pełniejszą ideę naszej epoki. Lecz mimo to wciąż jeszcze jesteśmy daleko od wyczerpania tematu. Musimy stworzyć trzeci, który ukaże nam jeszcze inne jej aspekty. Dobrze wiemy bowiem, że nie można poprzestać na tym, co ludzie głoszą w świecie logiki, na tym, czym są i co robią zgodnie ze świadectwem wypowiedzi pojęciowych, których używają. Trzeba wziąć pod uwagę to, co zaprzęta głębię ich psychiki, czyli to, czym są i co robią w całkowicie wyjątkowej dziedzinie tego, co nieredukowalnie subiektywne i irracjonalne, a co niekiedy umyka nawet ich własnej świadomości. Patrząc z tego punktu widzenia, można przede wszystkim zauważyć, że wśród wszystkich tych, którzy mówią jak Piłat, z pewnością jest wielu takich, którzy mimo to nie odrzucili świadomie pragnienia Prawdy, bez którego nie jest się człowiekiem. Wśród wszystkich ludzi nauki (lub pseudonauki), którzy zdają się troszczyć jedynie o wymyślanie coraz to nowych ujęć i nowych hipotez, z pewnością jest wielu takich, którzy w rzeczywistości i bez względu na to, co mówią, nie przedkładają szukania nad znajdowanie – bo czy wkładaliby tyle trudu i fadygi w szukanie chwilowych prawd lub weryfikacji, gdyby w nieświadomych lub nadświadomych rejonach swego umysłu nie szukali i nie kochali Prawdy, sami nie wiedząc o tym? Z drugiej strony, należy przede wszystkim zauważyć, że dzisiejszy frenetyczny modernizm jest nieuleczalnie ambiwalentny. Dąży on z natury, mimo że się przed tym broni, do zniszczenia wiary chrześcijańskiej – tak, robi wszystko, co może, by opróżnić ją z wszelkiej treści. A jednocześnie u wielu tych, którzy się z nim łączą, można dostrzec jak gdyby wysiłek, by dać tej wierze coś w rodzaju zdesperowanego świadectwa. Gdyż koryfeusze naszego neomodernizmu szczerze, jak najbardziej, a niekiedy z gorączką i niepokojem na wskroś religijnej duszy, deklarują się chrześcijanami. Nie zapominajmy, że są oni ofiarami pewnej z góry przyjętej filozofii,

wielkiej sofistyki (był poznaje się pod warunkiem, że weźmie się go w nawias lub abstrahuje od niego), która pozwala inteligentnie i grając na strunach naszego serca mówić o wielu sprawach, na które pozytywizm nałożył interdikt, a której o wiele lepiej niż pozytywizmowi udaje się udaremnić nam uchwycenie w tych sprawach choćby najmniejszej drobiny rzeczywistości pozaumysłowej, najmniejszego okruchu tego, co jest niezależne od naszego umysłu. Intelktowi pozostaje już tylko rozprawianie o prawdopodobieństwach kosztem tego, co dzieje się w ludzkiej subiektywności. W związku z tym twierdzenie o istnieniu transcendentnego Boga staje się nonsensem. Boska transcendencja jest tylko mityczną projekcją pewnego zbiorowego lęku, jakiego człowiek doznaje w danym momencie swych dziejów. I w ogóle, według tej z góry przyjętej filozofii, o której tu mówię, wszystko, co odnosi się do świata innego niż świat ludzki, może należeć tylko albo do dziedziny przeżytku, gdy chodzi o „paleoświat” dawnego realizmu filozoficznego, albo do mitu, gdy chodzi o świat nadprzyrodzony, o którym mówią religie. Oto inteligibilne niebo, owo Denkmittel, przyjmowane jako oczywiste samo przez się (czyli jako wymagane przez epokę), i rozmaite tabu, którym nasi najbardziej postępowi (czyli najbardziej konformistyczni) teologowie i egzegeci poddali swoje myślenie. Biedni, chrześcijańscy sofiści, przydałby się im Sokrates.

Trzeba być bardzo naiwnym, by zaangażować się w służbę takiej filozofii, jeśli się ma wiarę chrześcijańską (która jest niczym bez Słowa – nieskończenie niezależnego od ludzkiej subiektywności – Boga objawiającego, nieskończenie niezależnego od naszego umysłu). Zwłaszcza jeśli wyznaje się religię katolicką, która ze wszystkich religii (łącznie z religią Izraela – Benedicite, omnia opera Domini, Domino) najbardziej zdecydowanie uznaje i afirmuje rzeczywistość – nieredukowalnie, wspaniale i hojnie istniejącą w sobie – bytów,

*Jak tu się dziwić, że tylu  
modernistów sądzi, iż ma  
misję ocalenia dla  
współczesnego świata  
dogorywającego  
chrześcijaństwa – i c h  
dogorywającego  
chrześcijaństwa?*

które stworzył  
Stwórca, a także  
transcendencję tego  
Innego, który jest  
osobową Prawdą  
i Bytem istniejącym  
przez się, w którym  
żyjemy, poruszamy  
się i jesteśmy[5],  
Bogiem żywym,  
dzięki którego mocy  
żyjemy[6], który nas  
kocha i którego my

kochamy (kochać zaś znaczy dawać to, czym się jest, swój byt, w najbardziej absolutnym, najbardziej beczelnie metafizycznym, najmniej fenomenalizowalnym sensie tego słowa. Lecz także to wszystko trzeba – nieprawdaż? – chcąc być posłusznym nowej złotej regule – wziąć w nawias. A gdy już raz kogoś całkowicie oładnie i spowie filozofia, której zaufał, czym może się stać, jeśli nie opowie się po stronie otwartej negacji Chrystusa? Duszą rozdartą między wątpliwościami i nostalgicznym uporem – i pełną przerażenia litością dla współczesnego świata, wobec którego tylko jakieś całkowite przetopienie religii wydaje się jej być ostatnim bastionem przeciw ateizmowi – trzeba będzie zacząć szukać heroicznego lekarstwa, żeby wiara w Chrystusa przetrwała w porządku umysłowym z istoty swej z nią niewspółmiernym. Jak tu się dziwić, że tylu modernistów sądzi, iż ma misję ocalenia dla współczesnego świata dogorywającego chrześcijaństwa – i c h dogorywającego chrześcijaństwa? W tym właśnie celu poświęcają się jako dobrzy żołnierze Chrystusa tak wyczerpującemu wysiłkowi hermeneutycznej ewakuacji. A ich fideizm, nawet najbardziej sprzeczny z wiarą chrześcijańską, jest bądź co bądź szczerym i rozdzierającym świadectwem dawanym tej wierze.

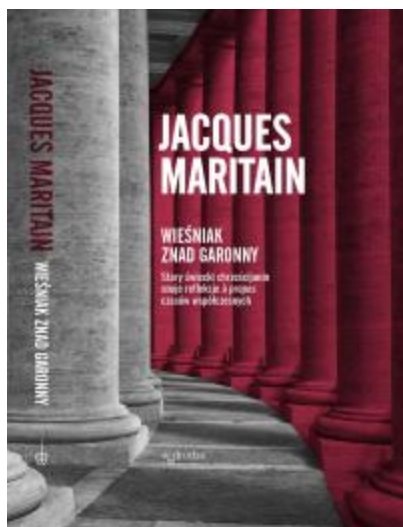
Przyobleczeni w zbroję Boga, obuci w zapał, uzbrojeni w pancerz sprawiedliwości, hełm zbawienia, tarczę wiary i miecz ducha? Ten ekwipunek św. Pawła[7] z pewnością nie jest dla nich, stanowi tylko muzealny eksponat. Widzę ich raczej, jak jedną ręką uwieszeni na drabinie Jakubowej, z nogami machającymi w powietrzu, drugą ręką posyłają sobie wzajemnie dalekopisy z najświeższymi hipotezami. Wygląda to bardzo brawurowo, ale grozi skurczem. Autor książki *Honest to God*[8] jest anglikańskim biskupem, niepokieszonym z powodu religijnego zubożenia swoich współczesnych, toteż próbuje im pomóc, przyrządzając rzeczy boskie tak, by stały się dla nich strawne i pobudziły wreszcie ich apetyt. On też jest bojownikiem za wiarę. Jeśli podsuwa nam takie bezwartościowe chrześcijaństwo (jego słynne „chrześcijaństwo bez religii”), to dlatego, że jest dobrym samarytaninem, niespokojnym i bezsilnym, i tak bardzo chcącym ratować narkomanów, że otwiera sklepik, w którym za darmo daje wszystkim narkotyki w ampułkach i saszetkach z etykietą „Baranek Boży”. A człowiek jest zwierzęciem tak dziwnym, że możliwe, iż w końcu któregoś z tych narkomanów w godzinie śmierci ogarnie słodczy na myśl, że ktoś go kocha, i przypomni sobie imię Jezus. Z zupełnie innego punktu widzenia można wreszcie zauważyć, że jeśli doczesna działalność i konieczne przemiany, jakich wymaga obecny świat, zdają się fascynować wielu młodych chrześcijan, duchownych i świeckich, do tego stopnia, że t y l k o to się dla nich liczy i że z pasją zabierają się do całkowitej sekularyzacji swego chrześcijaństwa – odtąd już wszystko dla ziemi! – to jednak najgłębszym motywem, któremu ślepo przyznają absolutną wyższość, jest w rzeczywistości płomienne pragnienie, by wprowadzić do historii świadectwo Ewangelii. Jeszcze jedno dziwactwo ludzkiej natury: z niespokojną i tak źle oświeconą, jak to tylko możliwe – ale szczerą – wiarą w Chrystusa zdradzają Ewangelię przez to, że tak bardzo chcą jej służyć (po swojemu).

\*

Trzy opisy, jakie przedstawiłem, są ze sobą sprzeczne. Niemniej, są tak samo prawdziwe, gdyż wielu współczesnych w pewnym sensie przyjmuje wszystkie trzy, każdy w swoim zakresie, jakkolwiek nie opisują tych samych „pól magnetycznych” w ludzkich duszach. Szczerze mówiąc, mam już dość tej charakterystyki, gdyż wcale nie zamierzam przedstawiać socjologicznego czy klinicznego obrazu moich czasów. Nie prowadzę dociekań o nich, tylko à propos nich. To nie one mnie martwią, lecz idee, które spotyka się w nich na każdym kroku, a z których część pilnie wymaga oczyszczenia. (...)

*Jacques Maritain*

*Fragment książki „Wieśniak znad Garonny” wydanej przez wydawnictwo W drodze (2017)*



[1] Święci zawsze ją znali – bo czytali Ewangelię.

[2] Słowo „modernizm” się zestarzało, jednakże nie znam lepszego. To zaś, że się zestarzało, sprawia nawet, że jest szczególnie dobre: gdyż nic nie starzeje się tak szybko jak moda i teorie, które prawdę i jej konceptualne sformułowania przedstawiają jako funkcję czasu.

„Perspektywizm” zapewnia, że nie jest modernistyczny, gdyż według niego ta sama niezmienna prawda wyraża się w niewspółmiernych ze sobą formułach konceptualnych, które kolejno wyłaniają się z biegiem czasu. Zostawmy mu jego iluzje.

[3] Rozbieżności i konflikty ideowe są równie rozległe u protestantów, jak u katolików – i na przykład Taizé pewnie może dać tym ostatnim parę użytecznych lekcji.

[4] Tym, co zebrałem w tym obrazie, nie są wizje godnych szacunku badaczy, lecz ekstremistów, których nazwiska dobrze znają eksperci w tej dziedzinie, jak również opinie pokutujące w środowiskach znajdujących się pod ich wpływem, a także wśród tych księży, którzy chwala się, że już nie zginają kolana przed tabernakulum.

[5] Dz 17,28.

[6] 2 Kor 13,4.

[7] Ef 6,13–17.

[8] Jak wiadomo, dzieło to zostało opublikowane po francusku dzięki staraniom pewnego magazynu, nieco makiawelicznego w swej ortodoksji, z zamiarem odciągnięcia ludzi od modernizmu poprzez pokazanie im ostatecznej aberracji, ku której ich prowadzono, od przepaści do przepaści. Ku zaskoczeniu i zasmuceniu wydawców książka okazała się wielkim bestsellerem, wszyscy przyjęli ją z zachwytem.